

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

19-25 kwietnia 2005 r.

NR 4 (25)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji
10. Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
11. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej



## Mili – po raz 25. serdecznie witani – Czytelnicy



Spodobał się nam Wasz pomysł, aby pokazać w „Koninianach” twarze najczęściej piszących dla Państwa redaktorów tekstów. Uznaliśmy, że najlepszy będzie właśnie 25. numer – lubimy te jubileusze. Pamiętajcie jednak, że nie bierzemy żadnej odpowiedzialności za nocne koszmary PT Czytelników po obejrzeniu naszych konterfektów. Co prawda każdy z nas był kiedyś ślicznym dzieckiem, ale niestety upłyły czasu i – bywało, różne, niekiedy zdrowie upodobań, zrobiły swoje.

Droży Państwo, chcielibyśmy przede wszystkim podziękować Wam za wielokrotne zapewnienia, że jesteśmy potrzebni i czytani. Zaś Wielkiemu Bratu – „Przeglądowi” –

za bezinteresowną edycję „Koninianów”. Zainteresowanie Czytelników piśmiemkiem naprawdę inspiruje i wyzwala energię do dalszego działania.

A oto czym chcemy Was uraczyć w jubileuszowym wydaniu „Koninianów”.

Dzisiaj zeszli się wreszcie – oczywiście w gazecie – bracia Kowalczykiewiczowie.

Dla odróżnienia, oprócz imion, będziemy pisać „młodszy” lub „starszy”. Jak niektórym wiadomo, starszy Zygmunt „popenił” już kilkanaście książek, zaś młodszy – Włodzimierz – to „koninianowy” debiutant. I tak młodszy opisuje wznoszące spacerę ze swoim Ojcem. Starszy tym razem kreśli historię kopalni oraz brykietowni w Morzysławcu.

Janusz Gulczyński przybliży Czytelnikom wizerunek niezwyklej koninianki, nauczycielki i wielkiej patriotki

Stefanii Esse. Obawiamy się, że młodszy, niewiele już to nazwisko mówi, a wielka szkoda. Notabene, tablica pamiątkowa poświęcona Stefanii Esse znajduje się w Liceum w Koninie, gdzie również wykładała.

Lech Hejman, pewno by odwrócić naszą uwagę od aktualnych pandemii, opisuje pochod straszliwej cholery, która ongiś dziesiątkowała społeczeństwa i narody. Potraktujmy to jako memento. Weneda, we właściwy sobie urokliwy sposób, zniewała wiosnę do pozostania – dołączamy się do grona miłośników jednej i drugiej. Paweł Rybczyński tradycyjnie wysperzał ze swoich przepastnych archiwaliów prawdziwy rarytas – opisuje jak zmieniały się granice miasta. Bardzo interesujące. Stary kpiarz Janek Sznajder przypomina faceję urządzane zwyciężajowo na prima dies aprilis. Z reguły czyniący żart bawił się zdecydowanie

bardziej niż odbierający. Dlatego wszyscy spieszyli się aby być tymi pierwszymi. Lech Stefaniak zabrał się dla odmiany za bezpieczeństwo w naszym mieście. Znow ma chyba sporo racji – ale pamiętajmy, że jest to problem nas wszystkich. Pozwolił sobie również poprosić mojego przyjaciela Zbyszka Skowrońskiego o podzielenie się z Państwem swoim wspomnieniem dotyczącym Ojca Świętego – wzruszające.

Ja tym razem przedstawiam Państwu losy niezwykłego szewca. Stało to prawie przykładowa historia życia bardzo wielu konińskich, szczególnie tych z lewobrzeżnej części naszego grodu. Natomiast jego talenty artystyczne to już osobna sprawa.

Serdecznie i jubileuszowo pozdrawiam

Stanisław Sroczyński



## Stefania Esse – wychowawczyni wielu pokoleń koninian



Stefanię Esse, wybitną konińską nauczycielkę, wychowawczyni wielu pokoleń koninian, pamiętają chyba już tylko najstarsi wiekiem mieszkańcy naszego miasta. Na uruchomionej parę miesięcy temu wystawie muzealnej „Koninianie w kręgu małych ojczyzn” znalazła się sekwencja tematyczna poświęcona Essowej – kilka bezcennych już dzisiaj fotografii, świadectw, dokumentów drukowanych i rękopiśmiennych, które pozwalają uporządkować i zweryfikować dotychczasową wiedzę historyczną na temat życia i działalności pedagogicznej konińskiej nauczycielki.

Urodziła się w Koninie 17 maja 1876 w znanej rodzinie Petschke. W 1893 r. ukończyła Gimnazjum Żeńskie w Kaliszu, uzyskując patent ze złotym medalem (na świadectwie wszystkie oceny w liczbie szesnastu – celujące). W 1895 r. uzyskała patent domowej nauczycielki (dokument sygnowany przez Ministerstwo Oświaty Rosji). Prawdopodobnie przez jakiś czas studiowała w Instytucie Kształcenia Nauczycieli Szkół Średnich w Petersburgu.

Przez lata przysposabiała się do zawodu nauczycielki. Nauczała w wielu konińskich szkołach, pogłębiając jednocześnie znajomość języków obcych, niemieckiego i francuskiego. W latach 1897-1901 była nauczycielką na pensji Heleny Semadeniowej. Pracowała też w innej pensji dla dziewcząt (w latach 1901-1905 i 1908-1913), kierowanej przez Janinę Komornicką. Wykładała w Szkole Handlowej utworzonej w Koninie w ramach reform oświaty przeprowadzonych pod zaborem rosyjskim po 1905 r. W okresie 1915-1918 pracowała w tej placówce pod kierunkiem ks. Włodzimierza Jasińskiego, późniejszego biskupa łódz-

kiego. Po przekształceniu uczelni w Gimnazjum Humanistyczne pracowała pod kierunkiem ks. Satisława Szabelskiego (w latach 1918-1922) i następnie w zmieniającej się strukturze szkole aż do 1933 r., do czasu przejścia na emeryturę. W latach 1922-1924 prowadziła również zajęcia w Gimnazjum Żeńskim Rady Opiekuńczej im. Królowej Jadwigi, szkole kierowanej przez J. Pieniążkówną.

Całe życie Stefanię Esse związane było z niemal wszystkimi konińskimi szkołami, które funkcjonowały w końcu XIX i pierwszej połowie XX w. Tak oto wspominał swą wychowawczynię W. Brawata: *Moje wspomnienia nie byłyby pełne, gdybym pominął [...] Stefanię Esse, umiejącą wymagać od uczniów, surową, a zarazem słaczną. Dzięki jej surowości i wysokim wymaganiom, wielu uczniom po dzień dzisiejszy sporo wiedzy pozostało w głowach...*

Niezwykle aktywna na niwie społecznikowskiej, zaangażowana w działalność patriotyczną, brała udział w lokalnym ruchu niepodległościowym na przełomie wieków; była członkinią żeńskiego ugrupowania Polskiej Organizacji Wojskowej oraz współorganizatorką głośnych w mieście obchodów 100. rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki, w czasie których zaprezentowano spektakl „Kościuszko pod Raclawicami”. Wspólnie z Kazimierzem Dorywalskim byli autorami tekstu patriotycznego do broszury o licznościowej wydanej w 1917 r. w związku z przygotowaniami do odsłonięcia pomnika powstańców 1863 w Ignacowie. Działaczka Towarzystwa Ratowania Tonących, a następnie Konińskiego Towarzystwa Wioślarskiego - organizacja zajmującej się krzewieniem kultury fizycznej oraz pracą na

rzecz odzyskania niepodległości. Współorganizatorka i uczestniczka imprez rocznicowych oraz kulturalno-oświatowych w mieście w okresie funkcjonowania Drugiej Rzeczypospolitej, m.in. obchodów święta 3 Maja i tzw. „Dni Chopinowskich”, na których występowała z okolicznościowymi referatami. Członkini i organizatorka wielu komitetów społecznych, stowarzyszeń i organizacji.

W czasie okupacji hitlerowskiej prowadziła tajne komplety, wielokrotnie manifestując swą polskość. Jak wspominała po latach A. Dybcaż-Sypniewska: *Pani Essowa była wielką patriotką, co uwidoczniło się szczególnie w okresie okupacji hitlerowskiej [...]. Nie chciała podpisać Volkslisty, chodziła do polskich rodzin przekazując wiadomości londyńskiego radia...*

Była żoną konińskiego notariusza Teodora Esse, z którym miała dwóch synów. Jeden z nich Janusz, utalentowany muzyk-pianista, świeżo po egzaminie maturalnym, zginął tragicznie w nurtach Warty. Mimo chorób i osamotnienia była S. Esse aktywna społecznie niemalże do ostatnich chwil swego życia. Jeszcze na dwa lata przed śmiercią wygłosiła przemówienie w trakcie uroczystości odsłonięcia tablicy ku czci konińskiej powieściopisarki, swej przyjaciółki Zofii Urbanowskiej.

Zmarła w Koninie 25 grudnia 1959 r. przeżywszy 83 lata. Pochowana została na miejscowym cmentarzu ewangelickim. Obecnie jest patronką ulicy na osiedlu Jana Zemelki.

Biogram poświęcony S. Esse warto uzupełnić jeszcze jednym cytatem, słowami znamiennymi, wyimkiem ze wspomnień innego wybitnego koniniana Mieczysława Bekkera: *Była Ona dla nas w latach szkolnych nie tylko wspaniałą, światłą nauczycielką, ale*

prawie jak matka – wychowawczynią i opiekunką. Wspominam zawsze ze wzruszeniem Jej troskę i wysiłek, z jakim starała się wykształcić młode charaktery nie tylko w znajomości języków, lecz również w poznaniu i zrozumieniu kultury i cywilizacji człowieka na światową skalę. Była to osoba niezwykła. Gorąca patriotka, miała świadomość wspólnoty ludzkości poprzez dziedzictwo spadku historii, patrzyła na świat nie z zaścianką, ale ze swego skromnego mieszkania, gdzie bogactwo rozumienia sztuki i literatury były zawsze mnie uderzało, ilekroć się zbieraliśmy w Jej domu na lekcje śpiewu lub próby nowej sztuki muzycznej, którą wystawiała szkoła [...]. Moja nauka języków i literatury pod kierunkiem pani Essowej dała mi znajomość tych przedmiotów w zakresie, jaki tu w Ameryce zdobywa się na uniwersytecie. Miałem szczęście, że znalazłem się w rękach nauczycielki o wielkim charakterze, olbrzymiej kulturze, przecznej i oddanej w pracy osoby...

I w zakończeniu jeszcze jeden akcent nawiązujący do wspomnianej wyżej wystawy muzealnej. Pośród prac plastycznych różnych regionalnych twórców zaprezentowano na ekspozycji zestaw artystycznych fotografii autorstwa Jerzego Sznajdra. Na szczególną uwagę zasługuje sesja zdjęciowa domu (kamienicy) Essowej przy obecnej ulicy Staszica. Koninianom przemierzającym tę część Starówki rzuca się w oczy zewnętrzna monumentalna budowla, postarzała, grożąca zupełnie ruiną, z oknami zamurowanymi ceglami i pustakami. Obecnie nie sposób wejść do środka tej szczególnej „małej ojczyzny”. Ale przed laty Jerzy Sznajder uchwycił w fotograficznym obiektywie wnętrza domu, kondygnacje, tarasy, suszącą się na sznurach bieliznę.

Warto przy tej prezentacji choć trochę pomyśleć o upływie czasu, o niepowtarzalności zabytków i bogactwie życia Stefanii Esse – wychowawczyni wielu pokoleń koninian.

Janusz Gulczyński



WIERSZE  
WENEDY

WIOSNA

...i nadszedł czas  
że powiał zachodni wiatr  
a nabrzmiało deszczem obłoki  
zmyły dachy domów i ulice...  
kocham zachodni wiatr...  
zaświeciło jasne słońce  
śląc ciepło świetlistym szybow

zielonym doniczkom na oknach  
ślącemu buremu kotkowi...  
kocham jasne słońce...  
male bure wróbelki  
opuściły zimowe schrony  
rozwierzkały się przy sklepach  
szukając opadłych okruców...  
kocham male wróbelki...  
a pachnąca Wiosna  
sieje w parku miejskim  
zielone żdźbła traw  
i jasne dzwonki kwiatków...  
kocham pachnącą Wiosnę...

Niecodzienne  
wspomnienie

Nie jestem rodowitym koninianinem, dobre wiatry, prawie 35 lat temu, przyniosły mnie aż z Krakowa. I właśnie historie inspirowaną przez Kraków i ówczesnego księdza biskupa Karola Wojtyłę chciałbym opowiedzieć. Miałem szczęście być ministrantem w kościele OO. Karmelitów Bosych przy ulicy Rakowickiej i słu-

żyć do mszy celebrowanej przez przyszełego papieża. I właściwie tylko tyle, ale dla mnie aż tyle. Przez cały pontyfikat Ojca Świętego towarzyszyło mi przeświadczenie, że życie pozwoliło otrzeć się małemu ministrantowi o Człowieka, którego imieniem nazywać będzie się epoka. I choć wtedy nic nie wskazywało, że dzieje się koło

mnie coś, co będę wspominał do końca życia - to w tej bolesnej chwili poczułem nieprzemątną wolę podzielenia się moim wspomnieniem.

Jako anegdotę pozwolę sobie przytoczyć następujące zdarzenie. Po mszy, już na placu przykościelnym księża obdarowywali nas świętymi obrazkami. Często też słodyczami. Tym razem biskup ofiarował mi obrazek i chciał dać... 2 złote, zielone, papierowe. Oniemiałem. Jak to, za służenie do mszy mam przyjąć pieniądze. On zapewne widząc moje zaleskowanie pogląkał mnie po głowie i spokojnie powiedział: „a słodycze lubisz?”. Odetchnąłem. Potwierdziłem. „No to weź”. Wziąłem - zostałem. A On odszedł.

Zbigniew Skowroński



Zapomniana Grobla Czarkowska, czyli  
tajemnica Przedmieścia Słupeckiego

Jednym z podstawowych czynników określających rozwój Konina na przestrzeni dziejów pozostają przemiany przestrzenne, warunkujące kształt urbanistyczny i architektoniczny miasta. Zazwyczaj terytorium miasta tradycyjnie identyfikowane jest z przestrzenią otoczoną murami obronnymi, a kiedy te utraciły swoje znaczenie z obszarem zwartej zabudowy miejskiej.

Tymczasem granice zwartej zabudowy, zmieniające się oczywiście w miarę rozwoju Konina, nie były w rzeczywistości tożsame z jego obszarem w rozumieniu okręgu administracyjnego oraz stanu posiadania miasta i jego mieszkańców. Ukształtowane w okresie staropolskim granice administracyjne Konina przetrwały w swoich podstawowych zarysach aż do XX stulecia. Obszar miasta w rozumieniu okręgu administracyjnego, określony w pierwszym całościowym pomiarze regulacyjnym z 1824 r., wynosił około 2332 morgi (ok. 1306 ha). Jeszcze w 1865 r. pod zabudowę pozostawiono niespełna 150 morg (ok. 84 ha) gruntów. Resztę stanowiły pola uprawne, ogrody, łąki, błonia itp.

Tereny te graniczyły od zachodu z

dobrami Stare Miasto oraz z Kozia Góra, Ruminem i osadą Posoka, od południa z dobrami Zychlin, od wschodu z majątnością Brzeźno i wsią Wilków, od północy z terenami należącymi do wsi Czarków i Kurów. Ta ostatnia wieś, aczkolwiek była własnością miasta, znajdowała się już poza granicami administracyjnymi i bezpośrednią jurysdykcją miejską.

Przebieg północnej, położonej na prawym brzegu rzeki Warty, granicy terytorium miasta był od początku skomplikowany i zawily, co z czasem doprowadziło do sporych perturbacji. W praktyce bowiem tylko część obszaru położonego pomiędzy rzeką Wartą a obecnym Kanałem Ulgi należała do miasta. W obrębie miasta formalnie pozostawał obszar na wschód od traktu słupeckiego (obecnie ul. Wojska Polskiego). Pierwotnie do miasta należał także stosunkowo niewielki obszar łąki położonej na prawym brzegu Warty, mniej więcej na wysokości obecnej ulicy Kilińskiego. Łąkę tę zwano Pocięjewo, a nazwa ta stała się z czasem zupełnie błędnym określeniem dla całego obszaru położonego na północ od rzeki i na zachód od obecnej ulicy Wojska Polskiego.

W rzeczywistości bowiem więk-

szość terenu po zachodniej stronie wspomnianego traktu nie należała do miasta, a po utworzeniu w 1864 r. nowych gmin wiejskich znalazła się na terenie gminy Gosławice, w obrębie gromady Czarków. Obszar ten oficjalnie nosił nazwę Grobla Czarkowska i równie oficjalnie zaczął być z czasem uważany za zupełnie odrębną miejscowość. Teren ten został bowiem w drugiej połowie XIX w. zabudowany i w 1892 r. istniało tutaj osiem nieruchomości, w tym kompleks zabudowań fabryki masyżyn i odlewni żelwa Reymonda, największego zakładu przemysłowego w ówczesnym powiecie konińskim.

Tym samym sytuacja w obrębie powstającego wówczas samorządu tzw. Przedmieścia Słupeckiego, obejmującego zabudowę wzdłuż traktu słupeckiego (obecnej ulicy Wojska Polskiego), stała się kuriozalna. Nieruchomości leżące po wschodniej stronie traktu należały administracyjnie do miasta Konina, po przeciwnej zaś stronie do gminy Gosławice, chociaż od centrum miasta, czyli rynku, dzieliła ich odległość zaledwie kilkuset metrów. W konsekwencji takiego stanu rzeczy rodzina Reymondów nie była obywatelami i mieszkańcami Konina, chociaż większość zatrudnionych w ich fabryce pracowników

zamieszkiwała w mieście.

W 1892 r. grupa mieszkańców (z Reymondem na czele) miejscowości Grobla Czarkowska zwróciła się do gubernatora kaliskiego z formalną prośbą o jej przyłączenie do miasta Konina. Władze administracyjne, aczkolwiek uznały zasadność wniosku, to jednak z przyczyn formalno - prawnych nie były w stanie przez wiele lat rozstrzygnąć sprawy. U podłoża tej niemocy leżały zasady wynikające z aktu uwłaszczeniowego z 1864 r. oraz prerogatywy utworzonych wówczas gmin i gromad wiejskich.

Najkrócej mówiąc zmiana granic wymagała przychylności właściciela Czarkowa, bowiem formalnie to zgromadzenie gromady wyrażało zgodę na rozdzielenie gruntów, służebności i użytków. Ponieważ zmiana taka uderzała w pewien sposób w interes ekonomiczny całej gromady, dlatego wspomniane zgromadzenie nie spieszyło się z podjęciem takiej decyzji, godząc się w 1895 r. co najwyżej na wyłączenie z gromady tylko części gruntów. W tej sytuacji sprawa utknęła w martwym punkcie, chociaż zainteresowani właściciele nieruchomości wielokrotnie ponawiali swoje prośby, popierane przez Magistrat Konina i władze powiatowe.

Dopiero nowe uregulowania prawne dotyczące zmian granic powiatów i podziałów na gminy wiejskie umożliwiło realne wznowienie sprawy w 1906 r. Ostatecznie 10 sierpnia 1907 r. Rada Ministrów Cesarstwa Rosyjskiego, na wniosek Ministra Spraw Wewnętrznych, podjęła decyzję w sprawie wyłączenia z gminy Gosławice w naturalnych granicach Grobli Czarkowskiej o obszarze ok. 16 dziesięcin (tj. co najwyżej ok. 18 ha), z jednoczesnym przyłączeniem do miasta Konina oraz zatwierdzeniem praw znajdujących się na tym terenie nieruchomości.

Z czasem pamięć o całej sprawie i samej Grobli Czarkowskiej zagięła, aczkolwiek do dzisiaj jest ona powodem wielu nieporozumień oraz błędnych informacji zawartych w różnych publikacjach i opracowaniach historycznych. Przede wszystkim za sprawą wspomnianej fabryki Reymonda, bowiem od tego, czy identyfikowano ją z Koninem, czy też z Groblą Czarkowską w gminie Gosławice, w oczywisty sposób zależał obraz potencjału gospodarczego miasta tego okresu.

Co ciekawe już dla współczesnych, a nie do końca zorientowanych w sprawie, sytuacja w obrębie Przedmieścia Słupeckiego była w gruncie rzeczy niezrozumiała. Świadczą o tym m.in. sprzeczne informacje zawarte w opublikowanym w 1883 r. Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich.

Piotr Rybczyński



Ostał się jeno komin

W lutym 2005 roku Kopalnia „Konin” przekroczyła sześćdziesięciolecie swojej działalności pod zarządem polskim. W dzisiejszych „Koninianach” sięgamy do roku 1945, aby opowiedzieć, jaki górniczy majątek przejęliśmy po okupantach niemieckich.

Wszystko zaczęło się w mroźne południe 20 stycznia, kiedy to do Konina wjechały czołgi Armii Czerwonej. Dzień później powstał Tymczasowy Zarząd Miejski na czele z Władysławem Stasińskim, właścicielem kina „Polonia”. Od tego dnia starostwem począł kierować powszechnie szanowany lekarz medycyny Władysław Pałys. Drugiego lutego przybył do Konina Pełnomocnik Resortu Gospodarki Narodowej i Finansów w celu powołania tymczasowego dyrektora

opuszczonej przez okupantów odkrywki w Morzysławiu i brykietowni w Marantowie.

Kopalnia Morzysław zajmowała wtedy 11,80 ha odkrytej powierzchni, w tym 80 tys. ton zapasów węgla brunatnego odkrytego.

W skład budowanej odkrywki na polu „Elwag IX” (od strony południowej Gosławic), wchodziło 22,54 ha łąk. Zbudowano tam szyb odwadniający o imieniu „Margrette”. W Marantowie obiekty brykietowni zajmowały 6,79 ha powierzchni. Wiodła do nich bocznica kolejowa. W skład fabryki brykietów wchodziły następujące murywane budynki i budowle: turbinownia (elektryczna), kotłownia połączona czopuchem z 92-metrowym kominem, rozdzielnia surowca z balkonem dla napełnienia kolejkii linowej łączącej odkrywkę z brykietownią, suszarnia i chłodnia węgla, hala pras, magazyny i warsztaty.

W budynkach drewnianych mieściły się: biura, portiernia oraz szopa dla straży pożarnej. Po północnej stronie fabryki stały cztery baraki mieszkalne.

Tak było w 1945 r. Część budynków fabrycznych była przez Niemców wyposażona w instalacje techniczne. Nie były one kompletne i aby uruchomić produkcję brykietów czekało niedoświadczoną w tej materii załogę polską wiele miesięcy ciężkiej pracy. Przystąpiono do niej 15 października 1945 r.

W marcu 1946 r. zakończono wyposażanie sortowni i odpylarni. Zainstalowano cztery suszarki węgla oraz trzy pojedyncze prasy brykietowe. W elektrowni postawiono dwa kotły wodnorurkowe La Monta.

Trzydziestego marca 1946 r. przystąpiono do ich rozpalenia. Niestety, próba zakończyła się wybuchem gazów kotłowych i rozerwaniem muro-

wanego czopucha. Po jego naprawieniu ponownie rozpoczęto palić pod kotłem. I znów wybuch i rozerwanie czopucha. Panował wtedy w Polsce okres podejrzliwości o sabotaże i zamachy na władzę ludową. Załoga była wielokrotnie przesłuchiwana przez UBP. Jego funkcjonariuszom nie przychodziło do głowy, że robotnicy i dozór nie mają doświadczenia z tego typu kotłami. Tym bardziej że w powojennej Polsce były tylko dwa – jeden w Gdańsku, drugi na Śląsku.

Nadszedł 28 sierpnia 1946 r. Dzień uruchomienia brykietowni i rozpoczęcia produkcji brykietów. Do końca roku wyprodukowano ich 1.485 tys. ton. I To była „garstka” w porównaniu z rekordowym rokiem 1971, w którym powstało ich 172.205 tys. ton. Licząc od 1946, pierwszy milion bruntnych cegiełek wyprodukowano w 1961 r., drugi 1967, trzeci w 1973,

czwarty w 1980, a szósty w 1995 r.

Przez cały czas istnienie marantowskiej brykietowni prowadzono modernizacje i doskonalenie technologii produkcji. Mimo dużego zapotrzebowania na jej produkty od lat mnożyły się zastrzeżenia co do ekonomiki produkcji i negatywnego oddziaływania na środowisko przyrodnicze. Mimo usprawnienia filtrów, część pyłu węglowego unosiła się do atmosfery. Podobnie było ze spalaniem węgla dla uzyskania pary technologicznej. Aby nie płacić wysokich kar za zanieczyszczenie powietrza, zastosowano paleńce gazem. Mimo tego wyniki ekonomiczne wpłynęły na to, że w 1990 r. dyrektor kopalni powołał komisję do przygotowania likwidacji brykietowni. Istniała ona jeszcze przez następne dziesięć lat. Nadszedł dzień 14 kwietnia 2000 r., w którym zaprzestano produkowania brykietów w brykietowni Kopalni Węgla Brunatnego „Konin”. Jej praca trwała przez 54 lata 7 miesięcy i 18 dni. W czwartym kwartale 2004 r. budynki znikły z powierzchni ziemi. Ostał się jeno komin.

Zygmunt Kowalczykiewicz  
(starszy)





## Z kart przeszłości Epidemia cholery w Koninie w połowie XIX w.

Piotr Rybczyński z konińskiego archiwum uważa, że pierwszą epidemię cholery, jaka miała miejsce w Koninie, spowodowali żołnierze rosyjscy z oddziałów Paskiewicza tłumiący powstanie listopadowe i przywlec ją mieli z głębi Rosji. Wśród zmarłych w 1831 roku było wielu mieszkańców miasta, w tym 7 z rodzin żydowskich, na co wpływ miało nieprzestrzeganie zasad higieny, ciasnota mieszkaniowa, niedostatek środków do walki z zarażeniami i zwykły brak wiedzy o przyczynach nagłych śmierci współmieszkańców. Choroba miała nagły i gwałtowny bezgorączkowy przebieg, bez oznak bólu brzucha i nudności. Zarazony po kilku dniach wylegania choroby oddawał narastające wodnistociele i miał obfite wymioty. Silne odwodnienie, kurczowe bóle mięśni oraz bezmocz prowadziły najpierw do osłabienia i apatii, później śpiączki i śmierci.

Podjęto próby zapobieżenia chorobie na przyszłość. Zgodnie z wyda-

nym wtedy Rozporządzeniem Rady Municipalnej powołany został zespół kompetentnych osób do rewizji stanu higieny w mieście. Właścicielom domów nakazano wywożenie zalegających podwórka i przydomowe śmietniki nieczystości oraz chędożenie latryn i rynsztoków. Żywność w sklepach, kramach i u dostawców sprawdzano pod względem przydatności do spożycia zwracając uwagę czy nie jest skwaśniała, zatechła i zarobaczywała. Do obowiązków władz miejskich, nakazanych petycją Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych Królestwa Polskiego, należało z kasy miejskiej zastrudnić lekarzy i pielęgniarzy, kupować lekarstwa i leczyć bezpłatnie ludzi ubogich legitymujących się świadectwem ubóstwa. W 1836 roku burmistrz otrzymał wykaz lekarstw, które mogły być na koszt skarbu państwa wydawane z aptek ludziom ubogim. Wśród leków były m.in. acetum, camphora, kali carbonium, oleum lini, her-

ba melissae, spirytus juniperi. W roku 1837 na cholę zapadło w mieście 6 osób, z których 5 zmarło. Chorymi opiekował się Jakub Joachimowicz, za co otrzymał 36 złp. Lazaret dla chorych urządzono w szpitalu św. Ducha, z którego stałych pacjentów okresowo przeniesiono do klasztoru Reformatów.

Rada Lekarska Królestwa Polskiego, chcąc uświadomić mieszkańcom Królestwa czym jest ta choroba, jak się ją rozpoznaje i jakimi sposobami leczy, wydała w 1847 roku dwie broszury, jedną w języku hebrajskim „Ogłoszenie o cholęrze” i drugą w języku polskim „Środki jakie celem zapobieżenia cholęrze ze strony władz miejscowych przedsięwzięte być winny”. W lutym 1848 roku przedstawiciele zarządu gminy żydowskiej: Jakub Sztoll i Zelig Rączkowski odebrali broszurę i rozpowszechnili jej treść wśród współwyznawców. Wskazania określone i opisane w broszurach nie

na wiele się zdały, bowiem w 1848 r. zachorowały w mieście 263 osoby, z czego zmarło 152 koninian. Najbardziej dramatyczny w powstaniu epidemii był rok 1852. Zachorowało wtedy 583 mieszkańców, z czego zmarło 318, w tym 113 Żydów. Władze miasta, zgodnie z zaleceniem rządu Królestwa Polskiego z 1839 roku, na czas epidemii uruchomiły oddział choleryczny w czterech izbach domu Bronikowskiego przy ulicy Kolskiej placąc mu za dzierżawę 50 rb. Chorymi opiekowali się lekarze szpitala powiatowego: Edward Bruner i Hincyngier oraz dwóch felcerów. Gdy ci zarazili się chorobą i zmarli, do opieki nad chorymi, których przez czas zarazy na oddziale było stale 178, zatrudniono felcerów żydowskich: Joachima Joachimowskiego, Moška Szwalbe i Szula Goldmana. Magistrat wynagrodził Goldmana kwotą 42 rb, Joachimowicz dostał 7 rb i 50 kop., Szwalbe 4 rb i 50 kop., dr Bruner 36 rb i 25 kop. Hincyngier zmarł.

Na urządzeniu oddziału cholerycznego zarobili kupcy dostarczając sukno na koldry, płótno na przeciwciadła, łóżka, naczyńia, oet i okowitę do dezynfekcji. Koszty pogrzebów pokryto z kasy miejskiej placąc za wykopanie grobu 15 kop., za transport zwłok 7,50 kop., za trumnę 90 kop.

W kolejnych latach miały miejsce

tylko nieliczne przypadki zachorowań. Kolejną dużą epidemię przeżyło miasto w 1866 roku. Na cholę trwającą od września do początków października zapadło 445 mieszkańców, co stanowiło prawie 6 proc. ludności miasta. Z podanej liczby wyzdrowiało 265 osób, zmarło 180. Rosyjskie władze miasta nałożyły na najbogatszych obywateli, kupców, właścicieli warsztatów, obowiązek zebrania kwoty 111 rb tytułem spłaty kosztów lekarstw, które apteka Podborskiego wydała na leczenie choleryków.

Epidemie z lat 1848, 1852 i 1866 zakończono dużą śmiertelnością świadcząco niechlubnie o stanie sanitarnym miasta, które nie miało ani wodociągów, ani kanalizacji. Choroba przenoszona była od nosicieli poprzez pokarm, wodę, a także za pośrednictwem przedmiotów i naczyń przez nich używanych. Szybkiemu szerzeniu się choroby i powstawaniu epidemii sprzyjały też warunki mieszkaniowe. W Koninie, w ciasnej zabudowie Starówki, mieszkało ok. 6 tys. osób, nieliczko zajmując pomieszczenia piwniczne i strychy. Przywleczony zarzek cholery powodował zakażenie wszystkich domowników, często wymierały całe rodziny. Ratunkiem był pobyt w szpitalu, gdzie podawano płyny ustrojowe, elektrolyty i dietyetyczne siłki.

Lech Hejman

## Szewska pasja

Dobrze jest być pasjonatem czegoś tam. Jeszcze lepiej, gdy pasja uzupełnia zainteresowania związane z pracą. Jednak pasje Andrzeja Szadkowskiego – szewca z przypadku – z uwagi na wielotorowość, przekraczają sprowadzone granice możliwości pojedynczego kolekcjonera. To najprawdziwsza szewska pasja w jak najlepszym rozumieniu tego słowa. Mówi się, że w każdej pracy można dojść do artyzmu – i to pewno właśnie chciała powiedzieć dziennikarka Gazety Poznańskiej, A. Szczepaniak-Kamińska w artykule poświęconym p. Andrzejowi i jego synowi Krystianowi. My chcemy jednak pokazać p. Szadkowskiego jako koninianina z działa pradziada. I po mieczu i po kądzieli. Ojciec i dziadek rozdzielili się na Utracie czyli dzisiejszej Kościuszki. Spokrewnieni byli z Pokornowskimi - rodziną, która dała mia-

stu znakomitych piłkarzy. Matka, Janina ze Ślusarczyków, zamieszkiwała na ulicy Wodnej (potem na Wojska Polskiego). Pani Janina była jedną z osób przechowujących kościelne obrazy podczas niemieckiej okupacji. Obrazy ocalały. Pan Andrzej urodził się na Wojska Polskiego, nie więc dziwnego, że przypisano go do słynnej „Dwójki” na Wodnej. Słynnej, ponieważ to tutaj ongiś pracował prof. Infeld – uceża, a potem współpracownik samego Einsteina. I choć p. Andrzej pewno o profesorach niewiele wie i pamięta, to może jednak z murów szkoły emanuje jakieś dobre szaleństwo udzielające się zarówno nauczycielom jak i uczniom. Pan Andrzej jest tego najlepszym przykładem.

Zresztą szkoła ma jeszcze inne zalety. Strategiczne położenie nad Wartą umożliwiała latem na dużej przerwie

wyskoczyć na krótką kąpiel, zaś zimą oczyścić na ślizgawkę. Co było, gdy uczniów z ułańską fantazją złapał dyżurny nauczyciel, opisał T. Kowalczykiewicz w nr 11(20) Koninianów.

Dorosłe życie p. Andrzeja jest typowe dla starokoninian. Osiedle, „bloki” i praca w którymś z wielkich zakładów... etc. etc. Jemu trafiła się huta, konkretnie elektroliza. Oddał jej dokład-

nie swoich 20 lat życia (1978-98). Po tem „pakiet” i emerytura. I co robi dalej stary hutnik. Jasne, że wraca do swojego starego konina. Sypia co prawda w nowym, ale całe dni przebywa już w starym koninie, w swojej firmie. Skromny baraczek, ale „na swoim”. Już przy wejściu do firmy - dwa piękne koła od wozu naszym dwa słońca. W końcu przodkowie byli włóciarniami - to zobowiązują.

Zaś w środku istne panoptikum - szaleńczy świat kolekcjonera. Ale to należy zobaczyć samemu, szukać firmy trzeba na targowicy przy ulicy Wodnej. Andrzej Szadkowski jest szczęśliwy, znów na „starych śmieciach”. Szczęśliwy tym bardziej że udaje się namówić, długotrwałą perswazją, syna Krystiana do przystąpienia do zawodu, którego notabene, nikt w rodzinie dotąd nie praktykował – no, ale kiedyś trzeba zacząć. Krystian, zamilowany akwarysta, jest już mistrzem. Panowie, tak trzymać. Bata też tak zaczynał. Fortuna sprzyja śmiałym.

Stanisław Sroczyński



## „Po raz ostatni”

Mineło wiele lat od śmierci mojego ojca. Przeglądając rodzinny album, przypomniałem sobie wypowiedziane przez niego słowa: „po raz ostatni”. Pierwszy raz usłyszałem je któregoś popołudnia, zwracając się wówczas do mnie powiedział: Chodź, pójdziemy na ulicę Zieloną (Wiosny Ludów). Przenoszą muzę i po raz ostatni zobaczymy zgromadzone tam eksponaty”.

W 1960 roku po raz ostatni razem poszliśmy obejrzeć, jak rozbiegano drewniany most na Warcie. Spojrzałem na tatę i zobaczyłem w jego oczach łzy. Dlaczego płacze? Przecież w to miejsce pobudują piękniejszy? Teraz wiem, że wraz z „zibcami” odchodziło jego dzieciństwo.

Po raz ostatni jechaliśmy razem liwkwidowaną kolejką wąskotorową i drogą Nieluszką. Patrzyliśmy, jak rozbiegano strażacką „wspinalnię”. Pokazywał mi gdzie pani Karbowskiak prowaodziła znaną przed wojną restaurację „Olimpia”.

Po raz ostatni z tatą jadłem salami wyprodukowane przez pana Schlenndra, znanego konińskiego rzeźnika. Z ulicy Leśnej (Dmowskiego) do Zychliana i z powrotem jechałem dylizansem pocztowym, właścicielem którego był rolnik i handlarz końmi, a mój wujek Stanisław Rybczyński.

Po raz ostatni przyglądałem się młockarni pana Marczaka i machinom na pasy transmisyjne w fabryce Włodarczyka. Po raz... byliśmy pożegnani się z ostatnim konińskim wiatrakiem.

Po raz ostatni oglądaliśmy wyburzaną kamienicę „Głuby” i domy przy ulicy Ogrodowej (Westerplatte). Pokazywał mi gdzie przed wojną był kort tenisowy, a w miejscu po nim pobudowano „coś” bliżej nieokreślonego.

Podczas spaceru w parku miejskim zwierzył się: „W niedzielne popołudnie czerwca 1936 roku, do letniego bufetu, zaprosiłem kolegów na kawalerski poczęstunek”. Ze smutkiem spoznał na rozbieganą altanę i powiedział: Szkoda, że widzę ją po raz ostatni.

Po raz ostatni zanieśliśmy razem bieleżną do magli mieszczącej się w piwnicy domu przy placu Wolności. Wiosną 1982 roku po raz ostatni razem staliśmy na skrzyżowaniu ulic 3 Maja i Szarych Szeregów. Przypomniał

sobie, jak w 1924 roku, przez niegdys stojący tu most, uciekał z „miasta” przed falą powodziową do swojego domu na „Utracie” (Kościuszki).

Na cmentarzu po raz ostatni żegnałem się ze „Zbyszkiem” – panem Zbigniewem Szurgotem. Wspomniany wiedział o Koninie i koninianach wszystko. Nosząc krzyż przed konduktem pogrzebowym odprowadzał mieszkańców miasta, wśród nich również mojego ojca na miejsce ich wiecznego spoczynku.

Mam nadzieję, że (nie) po raz ostatni powróciły do mnie wypowiedziane przez Tatę słowa: „Ludzie znani, zapiersani są w księgach, natomiast tacy jak my, zwykli zjadacze chleba, żyją tylko w pamięci bliskich i znajomych. Ty – pamiętaj o nich wszystkich”.

Swoje dzieci namawiam, by uważnie... rozglądały się wokół. Zycząc, aby widziały to co kochają, nie po raz ostatni.

Włodzimierz Kowalczykiewicz (młodszy)



Odwdzięczą się latem pięknymi trelami



## Mocna i nocna przyszłość narodu

Serce rośnie, gdy patrzy się na młodzież studiującą, w liczbie niewiarygodnej jeszcze kilkanaście lat temu w naszym kraju; na tysiące grup turystycznych zapelniających schroniska i górskie szlaki, na rzesze młodych ludzi z gitarami, ze śpiewem ale i w skupieniu pielgrzymujące do sanktuariów. Niestety, obraz ten ma i swą ciemną, przerażającą stronę.

Kilka dni temu dwóch synów moich znajomych, studentów przyjeżdżających na sobotę do Konina, zostało wprost zmasakrowanych przed klubem „Prohibicja”, tuż przy przejściu na Zatorze. Trzeci zdołał uciec. Grupa osiłków zażądała od nich po dwadzieścia złotych, których nie mieli, i komórek, których nie chcieli oddać. Wszystko to miało miejsce w samym

centrum miasta, miejscu oświetlonym i monitorowanym, teoretycznie, przez kamerę.

Od czasu do czasu społeczeństwo wstrząsane jest wiadomościami o rabunkach i zabójstwach dokonywanych w Koninie. Przystępność drobniejsza – rabunki komórek na przystankach, pobicia, narkotyki rozprowadzane przed szkołami i w samych budynkach – spowszedniała, stała się naszą codziennością. Czy Konin jest miastem bezpiecznym?

Rok temu jeden z dyrektorów szkoły opowiedział mi następującą historię:

Od miesięcy oni i kadra nauczycielska obserwowali, jak w określonych porach przed szkołę podejżdza samochód zaopatrujący uczniów, lokalnych dilerów, w tak zwane prochy. Z inicjatywy dyrektora doszło do spotkania z komendantem Policji, wspólnie opracowa-

no plan pochwylenia na gorącym uczynku rozprowadzaczy trucizny. W umówionym dniu kilku funkcjonariuszy po cywilnemu oraz samochody policyjne czekały... niestety na próżno.

Myślę, że wszyscy mamy wrażenie, iż policji nie ma zwykle tam, gdzie jest właśnie najbardziej potrzebna. Na moim osiedlu pieszego patrolu nie widziałem już od lat. Dosłownie! To pewnie z biedy. A jeszcze nie tak dawno byliśmy tak bogatym krajem, że milicjanci chodzili po dwóch, po trzech.

Najlepiej nawet działające służby policyjne nie rozwiążą jednak problemu przestępczości wśród młodzieży, mogą jedynie likwidować, mniej lub bardziej sprawnie skutki, przyczyny tkwią głębiej i mają, jak zawsze, charakter strukturalny. „Takie będą Rzeczpospolite, jakie jej młodzieży wychowanie”. Myśl, wieki temu sformułowana, nie straciła na aktualności.

Tymczasem państwo, rządzące elitą, pod wpływem chyba zakłamanego i krótkowzrocznego liberalizmu etycznego, coraz wyraźniej umywiają ręce od tej dziedziny życia społecznego.

Po tym jak szkolnictwo bardzo odważnie i nowoczesnie zrzuciło z barków odpowiedzialność za wychowanie, przetartym szlakiem poszło kilka następnych instytucji. Na placu boju pozostali rodzice, zmęczeni, zagrożeni a przede wszystkim z wątpliwościami: wychowywać dzieci wrażliwe na piękno świata, ale i krzywdę, niesprawiedliwość ludzką, w duchu patriotycznym, w poszanowaniu i umiłowaniu wartości narodowych i chrześcijańskich, czy raczej machnąć na to ręką i uczyć od małego, że tam twa ojczyzna, gdzie ci dobrze (to znaczy, gdzie dobrze zarabiasz), życie jest brutalne i najważniejszy jest w nim pieniądź, więc od przedszkola należy

kształcić umiejętność rozpychania się łokciami.

A propos przedszkola. Zostałem poproszony w skład Rady Rodziców. Obowiązki i odpowiedzialność żadne, ale, jak wiadomo, do takich społecznych funkcji nigdy nie ma zbyt wielu chętnych, więc rodzice z westchnieniem ulgi przyklepali ma kandydaturę. Na zebraniu zauważyłem, że o ile nie mam przeciw krzyżom, wprost przeciwnie, to boli mnie brak godła państwowego, o flagach, na wzór amerykański w każdej klasie, już nie mówię. Na przyszły rok o terminie wyborów do Rady Rodziców nawet nie zostałem powiadomiony.

Tak trzymać. Nie zabagniać umysłów niewiniątek symbolami przeszłości, skoro połowa licealistów nie potrafi zaśpiewać hymnu narodowego - to po co to przedszkolakom. Młodzień, który Cię, drogi czytelniku, nie dał Boże skopie, będzie mógł powiedzieć co o Tobie myśli w trzech językach. To wzniosłe i pocieszające.

**Lech Stefaniak**

### Regulamin konkursu „Milowego Słupa”

1. Konkurs ma charakter otwarty dla osób w wieku powyżej 16 lat
2. Uczestnik na adres organizatora przesyła zestaw 3 wierszy po trzy egzemplarze (maszynopisy) utworów dotąd nie publikowanych i nie nagradzanych.
3. Każdy zestaw winien być opatrzony godłem, a dane osobowe z adresem winny znajdować się w zaklejonej kopercie.
4. Zestawy nie spełniające warunków podanych w punktach 2 i 3 nie będą uwzględniane.
5. Ostateczny termin nadsyłania prac upływa z dniem 20 września 2005 roku.
6. Prace oceniać będzie jury powołane przez organizatorów.
7. Organizatorzy nie zwracają następujących prac.

8. Ogłoszenie wyników konkursu, wręczenie nagród i spotkanie z jurorami nastąpi w drugiej połowie listopada 2005 r., o czym laureaci zostaną poinformowani pisemnie.

9. Prace nagrodzone i wyróżnione zostaną opublikowane w wydawnictwie zwanym (bez honorarium).

10. Laureaci otrzymają nagrody (pieniężne) i wyróżnienia (książkowe), w tym specjalne dla twórców regionu konińskiego. Jury dokona podziału nagród. Dotychczasowi zdobywcy pierwszego miejsca nie będą pretendować do głównej nagrody.

11. Prace konkursowe należy nadsyłać na adres: MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA, ul. Dworcowa 13, 62-510 KONIN, z dopiskiem: MIŁOWY SŁUP

Informacje o konkursie:  
tel./fax (0-63) 242 85 37  
e-mail: mbp@konin.home.pl

### Ekspozyty z muzeum Janka Sznajdra



Zak (fragment niezachowanej większej całości). XVII w. Łąd, Łądek

### adrian marczak

widlasty

jak możesz tańczyć twarzami słończników ufnie podążających za twoim blaskiem

kiedy ja usycham zaduszany ostem o stu haczykach drapiących pytajników

nikomu

morze gdy dzień bezwietrzny

słowo bo narząd artykulacyjny

puenta skoro cel zapodziały

pocztówka I

nie dam rady wcisnąć tego guzika w drżących dłoniach długopis nie zdaje egzaminu

trzeba przełknąć słodki nierozgryziony owoc w wieczór gdy zachód słońca

nie chce być sfotografowany

# Prima aprilis



D ó c h było redaktorów w Rzeczypospolitej, konkretnej - w powiecie konińskim. W czasach, o których piszę, nie istniały jeszcze

konińskie media. Sprawami, dziejącymi się na terenie miasta i powiatu, zajmowali się redaktorzy, tzw. korespondenci. Ich teksty drukowano w „Gazecie Poznańskiej” i „Głosie Wielkopolskim”. Jeden pisał do Gazety, drugi do Głosu. Jeden zajmował się historią i zabytkami, usiłując krzątanki „domu Esowej” nazywać „Konińskim Wawelem”. Drugi, mylił warszawski kabaret „Koń”, z konińskim „Konińskim Ogonem”, obwieszając triumfalnie w prasie- „Koniński Ogon jedzie do Wiednia”. W Wiedniu odbywał się festiwal Młodzieży Świata. Wydawało się, że obaj redaktorzy mają różne dziedziny zainteresowań i jeden drugiemu nie powinien wchodzić w drogę. Były jednak tematy o charakterze ogólnym - osiągnięcia gospodarcze, wydajność pól, nagle wypadki itp. itp. Co chodliwsze wydarzenia, obaj redaktorzy wzajemnie sobie podchwytali. Musiało dojść do konfliktu. Obaj przestali się znać. O jednego było za dużo.

Zbliżał się właśnie 1 kwietnia. Grono konińskich dowcipnisiów

postanowiło pośmiać się z obu redaktorów. Obaj otrzymali listy, pisane jakoby jeden do drugiego.

Treść listów dotyczyła propozycji pojednania, wspólnego spotkania w określonym dniu i godzinie w restauracji „Europa”, celem omówienia kompromisu, czyli podziału miasta i powiatu na strefy przyrzeczne każdemu z osobna. Dowcipnisie, w oznaczonym dniu, zajęli stolik obserwatorów, z góry ciesząc się na dość zabawne spotkanie... Niestety, adresaci nie złapali rybki.

Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, że w owych czasach gazety, oprócz swego rodzimego tytułu, zamieszczały w podtytułach np. Organ Komitetu Wojewódzkiego P.Z.P.R., Organ Zarządu Głównego Z.M.P., Organ Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego itp.

Zapomniany już dzisiaj, świetny satyryk i poeta, Janusz Miniewicz, popularny Minio, prowadził stałą szpalnę w „Przekroju”, zatytułowaną „Pigułki”. Otóż przeurocze „Pigułki” miały w podtytułach napis: Organ Janusza Miniewicza...

Z okazji pierwszego kwietnia Minio napisał wierszyk:

Jaś na święta miał wysypkę. Lekarz stwierdził lekką grypkę.

Potem rzekł - prima aprilis, to nie grypka, lecz syfilis.

**Z pełną odpowiedzialnością za słowa - Jan Sznajder**

**KONINIANA**  
zdjęcia portretowe: RAD

ADRES REDAKCJI:  
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,  
tel. 243 77 00, 243 77 03  
Redaguje zespół  
Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Konina  
ISSN 0138-0893